

OSTATNIE OFIARY STALINIZMU W POLSCE W OKRESIE STANU WOJENNEGO 1981-1983 I ICH OBRÓŃCY

**Wywiad z Wiesławem SZAJKO
przeprowadzony przez Grzegorza Kaczorowskiego
w Stargardzie Szczecińskim, dn. 14 lipca 2008 roku**

Nazywam się Grzegorz Kaczorowski. Jestem ankieterem Fundacji KOS, która prowadzi badanie zatytułowane „Ostatnie ofiary stalinizmu...” i „Ocalmy od zapomnienia”. Celem badania jest zebranie świadectw osób będących ofiarami represji w okresie 1945- 1989, ze szczególnym uwzględnieniem okresu stanu wojennego. Ponieważ nasza praca ma charakter dokumentacyjny, nasza rozmowa będzie rejestrowana za pomocą dyktafonu oraz kamery.

Czy mógłby się Pan przedstawić?

Jestem Wiesław Szajko.

Gdzie i kiedy Pan się urodził?

W Szczecinie, 1 października 56.

Chciałbym na początku porozmawiać z Panem chwilę na temat historii Pana rodziny: kim byli Pana rodzice?

Moi rodzice, oboje pochodzili z wsi Zuzela, tam gdzie się urodził kardynał Wyszyński. No ich przygnało ich tutaj do Szczecina.

Byli pochodzenie chłopskiego?

Tak, chłopskiego.

Gdzie pracowali tutaj w Szczecinie?

Ojciec pracował w elektrowni w Szczecinie jako tokarz, a mama była krawcową.

Czy miał Pan/ ma rodzeństwo?

Tak, mam brata i siostrę.

Czy rodzice Pana byli zaangażowani w jakąś działalność czy to społeczną czy opozycyjną? Czy byli członkami PZPR?

Nie, nie byli zaangażowani w nic. Natomiast zawsze mieli nastawienie antykomunistyczne. Z tamtych terenów to jest normalka.

Rozumiem, że tę wartość wyniósł Pan z domu rodzinnego. Czy mógłby Pan wskazać poza tym [nastawieniem antykomunistycznym] jakieś inne wartości?

Rodzice byli w czasie wojny dziećmi. Natomiast dziadkowie, głównie dziadek z mamy strony- Wiśniewski, on był w oddziale chyba NSZ-u na tamtym terenie. Był magazynierem broni. Przesiedział też w informacji wojskowej. Złapali go zaraz po

wojnie. Na ten temat z rodziną w ogóle nie rozmawiał. Dopiero jak sobie kielicha walnął, to się rozczulił i czasami coś niecoś powiedział. Myśmy jako dzieci słuchali trochę tych jego opowieści. [To był] w rodzinie taki jeden przykład zaangażowania.

A jakie mógłby Pan wskazać wartości, które w rodzinie były szczególnie ważne albo które Pan przejął?

Wydaje mi się, że jako rodzina zawsze trzymaliśmy się razem. Więzy rodzinne były podtrzymywane. Mama była z bardzo dużej rodziny, bo tam było siedmioro dzieci, [w rodzinie] ojca też [było] chyba sześcioro dzieci. Z całą rodziną tak żeśmy się trzymali razem.

Porozmawiajmy teraz na temat Pana działalności najpierw społecznej, potem opozycyjnej: czy należał Pan do jakichś organizacji społecznych (młodzieżowych, kościelnych)?

Byłem harcerzem, działałem w harcerstwie.

Rozumiem, że nie był Pan druhem, tylko szeregowym harcerzem?

Nawet byłem szczepowym, ale to w szkole podstawowej. Jest taki fajny przykład: zakładaliśmy w szkole podstawowej drużynę. Był problem jaką nazwę wybrać dla [drużyny], więc ja zaproponowałem Bohaterów Monte Cassino, co się bardzo nie podobało, ale jednak przeszło. Mama uszyła proporce. Takie [było] nasze pierwsze zetknięcie z komunizmem już w szkole podstawowej.

Wychowywał się Pan w Szczecinie?

Tak, w Szczecinie.

Jak wyglądała Pana edukacja: podstawówka, liceum...?

Ogólniak. I na ogólniaku, po maturze się skończyła.

Gdzie Pan pracował?

Nie dostałem się na studia. Składałem papiery na Akademię Rolniczą. Zaraz mi zagrożono wojskiem, a miałem w Wołominie pod Warszawą samotnego dziadka ze strony ojca, czyli dziadka Szajko. On tam sam mieszkał, ja chciałem ucieknąć przed wojskiem. Jako jedyny opiekun dziadka chciałem się mignąć od wojska. Siedziałem w tym Wołominie i pracowałem w Wojskowych Zakładach Elektronicznych w Zielonce pod Warszawą. Ale niestety po roku wzięli mnie do wojska. W wojsku byłem w Przasnyszu. Tam była jakaś taka nasłuchowa jednostka i tam dwa lata odbębniłem.

A kiedy Pan się zaangażował w jakąś działalność opozycyjną?

Po powrocie z wojska, dziadek już nie żył.

Który to był rok?

79. W 79 przyjechałem z powrotem do Szczecina i tu się zatrudniłem w Wojewódzkim Związku GS-u. Samopomoc Chłopska to była czapa nad gminnymi spółdzielniami, a to był taki Wojewódzki Związek. Ja się w tym zatrudniłem. To były same biura w WZSR-e. Ja pracowałem w dziale kontroli usług. Jeździłem po województwie i niby kontrolowaliśmy zakłady usługowe w GS-ach jako taka „województwa czapka”. Jak wybuchły strajki, tam zakładaliśmy Solidarność. To było właściwie moje pierwsze działanie jakby polityczne czy stricte związkowe w takim ukierunkowaniu politycznym.

Jaką Pan pełnił funkcję w tych związkach zawodowych?

Ja byłem szefem, bo ja w ogóle zakładałem ten związek. To było naprawdę ciężkie środowisko. Tam byli sami straszliwie przestraszeni biurokraci. Ale w 80 roku wszyscy podnieśli głowy. To był, jak się okazało naprawdę cud. Dla mnie szokiem było przede wszystkim to, że ludzie, którzy mało z sobą rozmawiali, (jeden biurokrata podgryzał drugiego), nagle w 80 roku wszyscy stali się przyjaciółmi, otwarci, uśmiechnięci. To było naprawdę takie cudowne. Dla mnie to był po prostu szok, jak ja zobaczyłem jak oni się zmienili z dnia na dzień.

Co Wam się udało działać w czasie „karnawału Solidarności”?

Zwykła działalność związkowa. Założyłem bibliotekę wydawnictw niezależnych. I ludzie pożyczali książki. Wybrali mnie na delegata na wojewódzki zjazd Solidarności. Tak że byłem delegatem na wojewódzki zjazd, na krajówkę nie.

Rozumiem, że jak powstała Solidarność, to dla Pana było czymś oczywistym wstąpienie w jej szeregi, to było coś naturalnego? Jakie motywy Pana skłoniły do tego?

Dla mnie to było oczywiste, absolutnie oczywista sprawa, że jest okazja coś zrobić przeciwko komunizmowi.

Czy już w tym pierwszym okresie była u Pana świadomość ewentualnych represji, jakie mogą Pana spotkać, [jakie] mogą spotkać Pana rodzinę?

Ja byłem kawalerem, tak że w sumie niczym nie ryzykowałem. Ja w ogóle się nad tym nie zastanawiałem. Pierwszy zgrzyt, to był marzec, kiedy pobito tego Rulewskiego. Myśmy się wtedy właśnie otransparentowali. Byliśmy zwarci na strajk generalny, który miał być. Byliśmy przygotowani. Ci wszyscy biurokraci naprawdę to popierali, że „trzeba tapnąć”, że „to tak nie można”, itd. Pamiętam prawdziwą solidarność tych ludzi, kiedy rok wcześniej, to oni jeden drugiego po prostu się bali, nic nie mówili, żadnych zwierzeń, nic, każdy tylko żeby jak najmniej od siebie. A w tamtym czasie to ci ludzie się naprawdę cudownie zachowali.

Czyli w tamtym czasie łączył Pan działalność związkową z działalnością zawodową?

Tak jest, z pracą. Bo to było biuro, więc nie było etatu na [działalność] związkową.

Przejdźmy teraz bezpośrednio do okresu stanu wojennego: gdzie Pan mieszkał na początku stanu wojennego?

Ja mieszkałem w Zdrojach z ojcem i z siostrą. Siostra była już po ślubie z mężem. Moja mama wtedy jeszcze żyła, ale już bardzo chorowała. Szczecin- Zdroje to jest dzielnica na prawobrzeżu, osiedle w Dąbie.

Nadal był Pan kawalerem?

Tak jest. Myśmy mieli czteropokojowe mieszkanie. Tam właśnie mieszkali rodzice, ja i siostra z mężem.

Czym było dla Pana, dla Pana rodziny, dla środowiska wprowadzenie stanu wojennego?

Pamiętam taką sytuację. To była niedziela, z soboty na niedzielę. Dzień wcześniej musiałem jeszcze jakieś gazety nosić i obudziła mnie mama, i mówi: „Ty wiesz, że jest wojna!”. Szybko mnie spakowała, wziąłem jakiś koc czy śpiwór, przygotowałem jedzenie. Mówi: „Jedź na stocznię!”. I ja zamiast na stocznię (w ogóle nie złapałem autobusów) czymś tam dojechałem do miasta, czy ktoś mnie podwiózł (ludzie się

podwozili) bo to [było] trzeba kawałek przejechać. Ja poszedłem do zarządu regionu. Na dole szyba była wybita. I tam próbowałem coś krzyknąć, ale widzę, że mundurowi stamtąd wylecieli, no ta ja chodu i poszedłem na stocznię.

Co się wtedy działo na stoczni?

Na stoczni się właśnie organizował strajk i szefował temu Andrzej Milczanowski. On jakby ogarnął tych ludzi, bo Jurczyka [ani] nikogo z tych funkcyjnych z zarządu regionu faktycznie nie było. Jak się później okazało połowa [z nich] to byli kapusie. Andrzej Milczanowski podjął się ogarnąć ten chaos, bo region w ogóle nie był przygotowany do żadnych takich historii. Komuniści zarzucali, że coś było przygotowane, a związek był absolutnie nie przygotowany na taką historię. I byłem tam na stoczni. Tam zacząłem po raz pierwszy drukować, bo przecież drukarzem nie byłem.

Na czym się wtedy drukowało?

Z Wyższej Szkoły Morskiej przynieśli chłopaki woskowy powielacz i [drukowało się] na tym powielaczu. Później otworzono drukarnię stoczniową. Tam były jakieś romajory.

Już w czasie strajku?

Tak, w czasie strajku. Tylko drukarnia była jakby na zewnątrz strajku, [na zewnątrz] stoczni, poza bramą główną. Ja na offsetach nie drukowałem, tylko na tym powielaczu jakieś tam gazetki, komunikaty.

Czym się zakończył dla Pana strajk?

Po rozbiciu tego strajku, esbecy mieli przygotowane listy, [ale] ja akurat na [nich] nie byłem, bo ja nie byłem żadnym aktywnym [działaczem]. Znaczący na takim małym biurokratycznym polu, to byłem jakimś aktywistą, natomiast nie byłem na listach do internowania. Wtedy przepuszczali wszystkich, [a] kto był na tej liście, to go od razu aresztowali i do internowania. Mnie przepuścili. Jakoś czułem się w obowiązku dalej działać i wtedy zaczęliśmy. Najpierw zdobyliśmy maszynę do pisania mercedesa, gdzie się wkręcało 14 kalek, tych przebitek i coś tam się na tym trzaskało. Pierwsza była do wyrzucenia, bo była poprzedziurawiana czcionką, natomiast 13 było do wykorzystania. Tak żeśmy rozpoczęli podziemną działalność.

Jednym słowem zszedł Pan do podziemia?

Ja chyba jeszcze pracowałem jakiś czas. Schowałem tą moją bibliotekę, która była w moim zakładzie pracy, wszystkie dokumenty, całe archiwum zwinąłem i schowałem. Jakiś czas chodziłem do pracy. Te moje zdolności poligraficzne się rozwijały. Kolega Hildebranda, Wójcik Wiesiek, który wyjechał do Szwecji, pokazał mi jak się robi na wałku i matrycach woskowych. Pokazał nam i myśmy dalej zaczęli robić gazetkę. „Prolet” się nazywała ta gazetka i tam [zamieszczaliśmy] różne komunikaty. Najpierw żeśmy tą gazetkę na wałku jechali, [na] matrycach woskowych. Problemu nie było z tymi matrycami, bo w Szczecinie była fabryka, która produkowała te matryce, tak że akurat matryce to było w brud.

Rozumiem, że nie robił Pan tego sam, tylko był jakiś zespół ludzi?

Nie, ja miałem kolegę ze szkoły, z podstawówki żeśmy się znali. Na początku razem myśmy to robili. Trochę rodzina pomagała.

Kto to kolportował? Też wy?

Głównie po rodzinie: trochę szwagier wziął do pracy, częściowo do swojej starej pracy zanosilem różne rzeczy. Jeszcze z czasów Solidarnościowych, tej jawnej Solidarności było trochę kontaktów i tam też żeśmy się wymieniali różnymi gazetkami, książkami. Tak to się kolportowało, ale jakby własnym sumptem, bo kierownictwo jako takie praktycznie w Szczecinie nie istniało. [Takie kierownictwo] żeby ktoś mógł to opanować, zorganizować, jakoś do kupy wziąć to bezhołowie. Przy każdej gazetce była jakaś grupka aktywnych ludzi, którzy jak była jakaś okazja typu 3 maj nawiązywali ze sobą kontakty. Najpierw żeśmy się spotykali, głównie ci drukarze. „To co robimy?” „To msza będzie w katedrze np. na tą...” I poszedł komunikat, że jest [msza]. Ale nie było takiego ciała, które by tym zarządzało.

A kto wam przygotowywał teksty?

Wszystko sami. Od początku do końca sami. Później żeśmy próbowali się rozwijać. Zaczęliśmy szukać sita, w ogóle [przestawiliśmy się na] technikę sito. Więc żeśmy to sito gdzieś jakoś zdobyli. Pierwsze sito żeśmy dostali z Melatronika. Same płótna na sito dostaliśmy z Melatronika. Pracował tam brat mojego kolegi. Oni tam robili płytki drukowane elektroniczne i do tego wykorzystywali słabej jakości DDR-owskie sito, ale się nadawało. To sito żeśmy skombinowali, obciągnęli na ramkę. No i teraz szukać skąd emulsję, co i jak. Miałem taki podręcznik sztuk graficznych, od suchej igły do czegoś... W końcu i sito tam się znalazło. Tam napisane było jak działa ta emulsja. W związku z tym zaczęliśmy szukać. To znowu żona kolegi pracowała w laboratorium chemicznym. Ona nam te rzeczy załatwiła. Tak że to było rzeczywiście metodą szukania: jak tą czułość [nastawić], jakie świece, jakie płukania. Dłuższy czas żeśmy się tym zajmowali, ale w końcu nam się udało. Najtrudniej było z kliszami, tzn. z diapozytywami, żeby to dobrze zrobić. Na „Tygodnik Wojenny” dostawaliśmy z Warszawy gotowe klisze, tylko dokładaliśmy ewentualnie swój znaczek, [żeby było wiadomo], że to jest edycja Pomorze Zachodnie. A chcieliśmy też dalej wydawać własną, regionalną gazetkę. W związku z tym właśnie żeśmy szukali... Fotografiami zajmował się trochę mój brat, ale były trudności ze zdobyciem filmów ortochromatycznych, tzn. takich mało czułych, a dużo kontrastowych, żeby jednak to dobrze wychodziło.

Kolejne tytuły wychodziły, jak rozumiem?

Nie, ten „Prolet” wychodził. „Prolet” zaczęliśmy wydawać już na wałku, czyli na tych matrycach woskowych. [Wydawaliśmy] od III numeru, nie od I, żeby zrobić na złość esbecji, że już wyszedł III numer. To był marzec albo kwiecień [82], to było w tamtym czasie. No i zaczęliśmy wydawać, na pewno przed majem jeszcze było. Wydawaliśmy [na wałku] do numeru XIII, a już od XIV żeśmy wydawali na sicie. Ta numeracja już została zachowana. W ogóle były straszne problemy z papierem. Nie szło nigdzie zdobyć papieru. Zbierało się po moich kolegach z pracy z tego biura. Wyrywali po parę kartek papieru i tak żeśmy zbierali ten papier. Na sito mniej papieru szło, bo można zmniejszyć tekst.

Do kiedy Pan utrzymał się w pracy?

Do wpadki, bo wpadkę zaliczyliśmy przed 11 listopada 82 roku. W tamtym czasie był już tutaj w Szczecinie jakiś regionalny komitet, który dał nam jakiś komunikat, że trzeba zorganizować się na 11 listopada. No i ja tego komunikatu natrząsałem dużo. Wtedy na sicie żeśmy jechali. Wtedy akurat wykorkował Breżniew. Był chyba 7 listopada czy jakoś tak. A kolega miał jeszcze wtedy urodziny. Teraz to już dokładnie wiem kiedy i dlaczego żeśmy wpadli, bo mam te dokumenty, ale w tamtym czasie myślałem, że [wpadliśmy] przez tą moją bibliotekę w WZSRze, [że może] jednak ktoś

tam doszedł, że była, i że do mnie trafili tak przypadkowo. Ale teraz już wiem z dokumentów, że absolutnie nie. Po prostu sprzedał mnie Olejnik, bo on był szefem regionu właśnie w Stargardzie. Grzegorz Olejnik wchodził w skład zarządu wojewódzkiego Solidarności. I on właśnie odbierał ode mnie te komunikaty parę dni przed 11 listopada. I przyszedł do domu. Ja go zaprosiłem, bo niby miał czekać na zewnątrz. „Nie, to niech przyjdzie.” Jego mi przyprowadził kolega z zarządu regionu z Polmo Franek Skwierczyński, który jak się okazało też był kapusiem. Tak że wcześniej czy później moja działalność była skazana na wpadkę.

A drukowaliście wtedy...?

U mnie, nie w domu tylko w piwnicy. Mieliśmy taką dodatkową piwnicę. To [był] taki sam blok jak ten i tam było więcej piwnic jak mieszkań. A mój ojciec był przezorny, więc na piwnicy, która była niewykorzystana, pozakładał kłódki. I myśmy w takiej jednej piwnicy drukowali. Były lepsze drzwi, a na sicie pracuje się cicho, nie śmierdzi. Oni przyszedli (Olejnik i Skwierczyński) po te rzeczy. Ja mówię: „To chwilę poczekajcie. Ja gdzieś zejdę i przyjdę z tymi [ulotkami]”. Przyszedłem do niego z tymi ulotkami i później jak wpadła esbecja, to szukała w tym bloku miejsca skąd ja to mogłem przynieść, bo w sumie czas [oczekiwania] był krótki. W związku z tym po dłuższym szukaniu w końcu trafili do tej piwnicy.

I co zrobili?

To był 82 rok Zabrali te ramki. Mnie akurat nie było w domu jak przyszedli, więc mnie od razu nie zgarnęli. Ja się ukrywałem do ostatniego marca następnego roku. Na Prima Aprilis przewieźli mnie na Kaszubską. Najpierw zamknęli mnie na Małopolską, to był areszt.

Złapali Pana czy Pan się ujawnił?

Nie, złapali mnie. Ja akurat przyjechałem z Warszawy z tymi kliszami. Nie poszedłem już na to mieszkanie, gdzie się ukrywałem, tylko po prostu poszedłem spać do domu. Ale widocznie mieli [dom] pod obserwacją albo któryś z tych sąsiadów, który wiedział, podkablował, że ja przyjadę, a Skwierczyński akurat wiedział, że ja przyjadę. No i rano o 6 puk, puk. Przyszedli i mnie złapali. Jeszcze zdążyłem (bo to było na drugim piętrze, balkony były połączone) przeskoczyć do sąsiadów na balkon, ale pechowo sąsiadów nie było w tym czasie, tylko jakaś ich kuzynka, czy ktoś tam mieszkał, ona w ogóle mnie nie знаła. Walę w te drzwi, żeby mnie wpuściła, a on że nie. Ten esbek, który wpadł za mną na ten balkon, wyjął spluwę: „Wracaj, wracaj!”. I musiałem z powrotem przełazić przez ten balkon. Ale i tak nic by to nie dało, bo blok był obstawiony.

A jeszcze wracając do momentu ukrywania się: czy często Pan zmieniał mieszkania, czy to byli znajomi, kto Pana ukrywał?

Po znajomych. Nie było takiej atmosfery, że to jest coś strasznego. To w ogóle była jakby fiesta dla nas ten stan wojenny, dla takich młodych. Taka przygoda. W ogóle w zasadzie nie były przestrzegane żadne zasady konspiracji. To było po prostu takie, żeby jak najwięcej zrobić bibuły, żeby jak najwięcej jej wypchać, żeby pokazać, że coś się dzieje, ale nikt nie zakładał ścisłej organizacji. Według mnie to powinno być [pokierowane] z góry, jest np. przygotowany region do takiej działalności w konspiracji i koniec. A jak się ludzie tak po przyjacielsku spotykają: ten kolega tego, ten kolega tamtego, a tego mi przyprowadził też kolega, którego znam, to w związku z tym nie ma [czegoś] takiego, że [obowiązują] pseudonimy. To tak nie funkcjonowało w tamtym czasie. Dlatego te wpadki były tak zaliczane, bo jak się

[dziś] czyta, to [wychodzi na to, że] mieli już bardzo dużo rzeczy, które wiedzieli. A myśmy dalej żyli w nieświadomości, że taka fajna zabawa konspiracyjna. Na pewno nie było to tak, jak się czyta w opowieściach z wojny, że była taka konspiracja. Raczej to wszystko funkcjonowało na takich kontaktach przyjacielsko-koleżeńskich. I w sumie wszyscy mieli do siebie zaufanie.

Nie było takiej nieufności jeden do drugiego?

Nie, absolutnie. Na pewno do pierwszych wpadek. A pierwsza wpadka to była ta co ją miałem na listopad, a wcześniej to się nie słyszało o wypadkach. Była jakaś wpadka w Szczecinie. Był taki działacz Jurek Sychut. Oni wydawali za jawnej Solidarności takie wydawnictwo „Suplement”. Wydali parę książek historycznych, nawet całkiem fajnych, nawet tam jedna stoi. I oni po prostu gdzieś popili, musieli już być bardzo zblazowani, no i milicja wzięła ich za tyłki. Akurat do internowania on też do Szwecji wyjechał. A jak się teraz okazało to pił z klientem, który współpracował z SB, tak że wcześniej czy później i tak by poszedł siedzieć.

Czyli złapali Pana. I jak to się później potoczyło?

To były jeszcze te paragrafy wojskowe o stanie wojennym i prokuratura wojskowa prowadziła tą sprawę. Ja siedziałem 4 miesiące i do amnestii. W Szczecinie siedziałem na Kaszubskiej - to jest u nas areszt śledczy. Wyroku żadnego nie było, [sprawa] została umorzona w związku z amnestią. To była tzw. pierwsza amnestia. I wyszedłem stamtąd od razu z rozprawy, bo to była rozprawa wyznaczona jakoś na lipiec. Ja byłem oskarżony o prowadzenie działalności związkowej i jakieś tam inne jeszcze paragrafy.

Czy wydarzyło się coś takiego decydującego w trakcie tego aresztu?

Nie, akurat ten areszt nie był taki tragiczny.

Czy było was więcej politycznych w tym czasie?

Tak, Bałuka w tym czasie siedział. Na tej Kaszubskiej był taki oddział na I piętrze w bloku, tzw. esbecki, bo tam siedzieli ludzie złapani przez SB, i siedział [w celi] właściwie [jeden] człowiek z jakimś kapusiem. Wcześniej się o tym wiedziało. I ja też tam siedziałem z takim jednym, ale miałem żylaki. Powiedziałem, że mnie boli, lekarz mnie wziął stamtąd po dwóch tygodniach. Na przesłuchania chodziłem, ale w ogóle nie rozmawiałem z tym przesłuchującym. Odmawiałem jakichkolwiek zeznań. Od razu mnie odsyłali. I poszedłem na szpitalny oddział. Tam mi zrobili operację na lewą nogę i stamtąd już nie trafiłem na ten esbecki [oddział]. Tam jest taka zasada, że jak ktoś ma kontakt z innymi więźniami, to już nie wraca na oddział esbecki, bo wszyscy w więzieniu wiedzą, że tam akurat jest ten esbecki [oddział], [a więc] i tak się wtedy nic nie powie. Wtedy właśnie poznałem Jasinę, bo wcześniej go nie znałem. Dali nas na IV piętro i przed przyjazdem papieża wszystkich politycznych skupili w jednej celi. I nas wtedy siedziało chyba sześciu w jednej celi.

Po wyjściu, po amnestii wrócił Pan...?

Ja cały czas miałem kontakt z Warszawą, książki wozilem, literaturę, cały czas drukowałem. Nawet jak poszedłem siedzieć, tu zostali koledzy, którzy dalej to ciągnęli, tak że w ogóle nie było żadnej przerwy. Ciągłość była zachowana. Nie wiem czy tam[środowisko] też było rozpracowane, na pewno było, bo jak się czyta te papierzyska, to tam rzeczywiście wiedzą kto i co. Fakt że dziwnym trafem ich jakoś nie ciągnęli. Mnie zawsze zatrzymywali na 48 godzin przed różnymi świętami patriotycznymi. [Wtedy] próbowali łapać ludzi. Stąd moja druga wpadka. Zdaje się, że

w następnym roku po wyjściu [z więzienia], przed 3 majem żem się schował i mnie nie aresztowali, ale mnie znowu aresztowali spod katedry, bo robiłem tam zdjęcia. Zaaresztowali mnie i skazali z doraźnego trybu na 8 miesięcy pod zarzutem wznoszenia okrzyków i z pobudek chuligańskich- jest taki paragraf. Stamtąd trafiłem już do normalnego, dosyć ciężkiego więzienia. To było więzienie w Nowogardzie. Po dwóch miesiącach przerwali mnie stamtąd do więzienia w Stargardzie. Tu już było inaczej.

Także rodzina odczuła boleśnie te zatrzymania?

Pierwsze aresztowanie- byli bardzo przestraszeni. Zwłaszcza ojciec był strasznie spanikowany, bo trochę się nasłuchał, (może więcej wiedział, ale nie opowiadał) co UB potrafi zrobić z ludźmi. Ja to sobie raczej tak lekko traktowałem, jakoś tak nie docierało do mnie, że może być coś naprawdę złego. Ale mama w tamtym czasie była bardzo ciężko chora i zmarła jak ja się ukrywałem. Mama miała raka. Mama zmarła w grudniu. Ja się ukrywałem, tak że nawet nie mogłem do niej jechać do szpitala. Na pogrzeb poszedłem w obstawie. Koledzy powyprowadzali mnie z tego cmentarza zakamarkami, a podobno była na pogrzebie SB, żeby mnie zgarnąć, ale jakoś się nie udało.

Potem był nadzór, nachodzili dom?

No pewno, to było normalne, że przed każdymi [rocznicami] albo co jakiś czas wpadali. Dla rodziny, dla siostry (ona miała takie małe dziecko, dziewczynkę) [to były ciężkie przeżycia]. Jak mnie złapali w kajdanki, to dwuletnie maleństwo przychodzi: „Wujek, a dlaczego kłódki masz na rękach?”. Ona do tej pory to pamięta, mimo że miała wtedy dwa latka, tak że to jest takie przeżycie...

Czy materialnie też rodzina to odczuła? Pozwalniali z pracy albo grozili?

Nie, akurat rodziny nie zwolnili z pracy. Ja w przerwach pomiędzy odsiadkami próbowałem jednej, drugiej pracy, ale po jakimś czasie przychodziło [zarządzenie], że musiałem się zwolnić. Dopiero jak prywatnie się załapałem do pracy jako elektryk, to wtedy nacisków nie było.

Jak Pan się utrzymywał? Pomagała rodzina?

Absolutnie rodzina.

A czy [była] jeszcze jakaś pomoc z zewnątrz?

Były jakieś paczki z Komitetu Prymasowskiego. Była też pomoc prawna. Ale czy np. kolegia były płacone z Komitetu, to już nie pamiętam. Może dali jakieś pieniądze, ale w tej chwili nie pamiętam. Doraźnego dostałem 8 miesięcy, ale siedziałem też tylko 4 do amnestii (bo w następnym roku znowu była amnestia). Fakt że mnie wypuścili prawie jako ostatniego we wrześniu (od lipca), ale w końcu wyszedłem. Tak że 4 miesiące siedziałem i za pierwszym i za drugim razem. Za drugim razem to było normalne więzienie. Mnie już w Nowogardzie nie było, [a oni] nie powiadomili rodziny. Ja też nie [mogłem ich powiadomić], bo miałem zakaz korespondencji (coś tam musiałem narozrabiać). W związku z tym rodzina [pojechała] na widzenie do Nowogardu, a mnie już tam nie było. Tak że to takie uciążliwe było.

Rozumiem, że już wtedy mieszała was z kryminalnymi?

Tak, absolutnie, ale akurat z tymi kryminalnymi źle się nie siedziało, bo oni mieli szacunek dla politycznych, bo w czasie Solidarności w więzieniach nawet

kryminalnym dużo się poprawiło. I stosunek kryminalnych do więźniów politycznych był raczej pozytywny.

Czyli amnestia i drugie wyjście [z więzienia] to jest już 84 rok?

Tak jest.

Cały czas Pan kontynuował [działalność podziemną]?

Cały czas kontynuowałem, ale w tamtym czasie było naprawdę ciężko. To wszystko za długo trwało. Nie było efektów, [widoków] na lepszą przyszłość, więc naprawdę trudno było wypchać komuś gazetkę albo ludzie wzięli tą gazetkę, a później się okazało, że zostawił, nie rozkolportował jej. Naprawdę w tamtym czasie, 84 i piąty, szósty, to był straszny dołek w nastrojach społecznych. Nie czuło się już takiej euforii. Ja zresztą też miałem taki dołek. Właściwie robiłem to, ale już bez takiego mocnego zaangażowania. Dopiero jak wyszedł Andrzej Milczanowski z więzienia... Przed wszystkim w Szczecinie nie było organizacji. Jak Andrzej wyszedł, [to] znowu to zorganizował. To zaczęło funkcjonować. Jakieś maszyny się pokazały, np. offset był. W związku z tym to znowu zaczęło się ruszać, to jakiś strajk w WPKM [Wojewódzkie Przedsiębiorstwo Komunikacji Miejskiej]... Zaczęło się coś dziać i to już poszło, ale tylko dzięki Andrzejowi, bo tak to wszystko było w dołku. I on właśnie zorganizował już taką prawdziwą działalność. Wiadomo było do kogo iść, co można, wywiad z kim zrobić, kto udzieli do tej gazetki. Powstała gazetka regionalna, „Korespondent”, która była taką jakby gazetą tamtego Zarządu Regionu na czele z Andrzejem Milczanowskim. Ja im to wtedy drukowałem jako dodatkowe zajęcie, bo „Tygodnik Wojenny” już nie wychodził. On skończył już [swoją] działalność, a na bazie tych ludzi, z którymi ja miałem kontakt, powstała „Samorządna Rzeczpospolita”. Była też taka gazeta i ja robiłem szczecińską edycję tej właśnie gazety.

Z tego co liczę to już czwarta gazeta: „Prolet”, „Tygodnik”, „Korespondent”...

„Samorządna Rzeczpospolita”. W międzyczasie jak były strajki, to myśmy zaczęli wydawać „Kurier Strajkowy”, taki szczeciński [tytuł] dotyczący tylko strajków. Ale mało nam było i w związku z tym między strajkami zaczęliśmy jeszcze wydawać „Kurier Międzystrajkowy”.

O których strajkach Pan mówi?

[O tych] z 88. Pierwsze próby strajków tu w Szczecinie były chyba w 87 na bazie WPKM-u. Głównie WPKM, bo stocznia w ogóle siedziała cicho, nic nie robili. Nawet się nie przyłączali do tych strajków w 88 roku. W sumie praktycznie tylko na bazie WPKM-u, czyli komunikacji miejskiej i ZBKOL-u, firma przy kolei PKP [coś się działo]. To były właściwie dwa zakłady, które coś [robiły]. I zarząd portu. Ale pierwszy był WPKM. Tam był taki facet, nazywał się Mietek Lisowski. On jest w tej chwili bardzo poważnie chory. To był naprawdę człowiek, który ciągnął tutaj tą robotę strasznie. Bardzo zaangażowany i zasłużony.

Jego choroba jest związana z tamtymi czasami?

Nie, nowotwór, to już trudno powiedzieć. Ale twardy jest. Tyle przeszedł i tyle wytrzymał, ale w tej chwili jest już naprawdę bardzo chory. Ale to był człowiek... taki filar.

Gdzie wtedy drukowaliście?

Tylko po znajomych. Właściwie sami żeśmy sobie załatwiali te lokale. O tym, że szukamy lokalu, to żeśmy wszystkim wkoło [mówili]. [Mówiliśmy] Wądołowskiemu,

żeby załatwił jakiś lokal, [ale] to absolutnie nie szło, to było nie do przeskokowania. Musiałeś sobie sam załatwiać i tyle. Tak samo zaopatrzenie w papier- to była rzecz bardzo trudna do załatwienia. Nikt się tym nie zajmował, wszyscy się bali. Z Warszawy przyjechał tu kolega, żeby zrobić wywiady do „Tygodnika Wojennego”. Jurczyk już przecież wyszedł. Jurczyk tylko wpadł, powiedział, że mu Genia nie pozwala na takie konspiracyjne i się zwinął. A Genia to była jego żona. Tyle było gadki z Jurczykiem. To wywiad zrobili z Bałuką (zanim wyjechał do Francji). A Jurczyk nie chciał gadać i uciekł. Z Wądołowskim chyba robili wywiad, ale co oni mogli powiedzieć? Nic, bo mówiąc szczerze, nic nie robili.

Wspominał Pan, że w międzyczasie zatrudnił się Pan jako elektryk?

Pracowałem w firmie prywatnej jako elektryk instalacyjny.

Do 89 funkcjonował Pan na tym stanowisku?

Nie, tam była taka sytuacja, że po tej drugiej wpadce nie wróciłem już do tego elektryka. Ja pracowałem między tymi wpadkami. Potem się okazało, że kolega też miał jakiś zakład elektryczny, więc ja z nim pracowałem.

Represje były już takie normalne: nachodzenie. Tak że następnym razem jak się zbliżały święta, patriotyczne obchody czy coś, to już w ogóle się nie ukrywałem, tylko przychodzili, zabierali na 48. To już była normalka. Człowiek już się nie ukrywał, bo i tak później spod katedry czy z miejsc demonstracji zabierali. Tak że już nie byłem taki głupi, żeby chodzić na manifestacje.

Ale już Pana nie aresztowali?

Nie, już się w ogóle nie słyszało, żeby aresztowali. W sumie też atmosfera była słaba, ale nie było też takich dużych represji. Taki marazm był. Widać, że sporo wiedzieli, mieli rozpracowane.

Porozmawiajmy teraz na temat skutków represji, których Pan doświadczył: które z tych rzeczy były dla Pana najgorsze?

Najgorsze było siedzenie, bo tam się nic nie robiło. Nic się nie wiedziało, co się dzieje na świecie, od widzenia do widzenia. Te widzenia były bardzo rzadko przydzielane. Za drugim razem (po wyroku) można było chyba raz na dwa tygodnie odbyć takie widzenia, więc rodzina przyjeżdżała i coś tam się wiedziało. Ale w śledztwie, to trzeba było występować o zgodę do sądu czy do prokuratury. Oni nie dawali tej zgody, bo ja z nimi nie gadałem. Po prostu odmawiałem rozmowy. „Do widzenia” i w ogóle nie gadałem. I to było trudne, bo się nie wiedziało co się dzieje w domu.

Czy nastąpiły w Pana życiu jakieś trwałe zmiany wskutek represji? Pogorszenie stanu zdrowia?

Nie, nic takiego.

Niemożliwość znalezienia pracy?

To jest oczywiste. Gdzieś tam się zatrudniłem do pracy, to za chwilę musiałem się stamtąd zwolnić. Na przykład była taka sytuacja, że podjąłem pracę w szkole podstawowej jako kierownik sprzętaczek. Robiłem zaopatrzenie do tej szkoły, takie porządkowe rzeczy. Tam popracowałem trochę i do kierowniczkę [ktoś] przyszedł, ktoś zadzwonił, że ma mnie zwolnić, i musiałem się zwolnić.

Kiedy Pan przestał być kawalerem?

Już po 90 roku. Ja miałem absolutnie wolną rękę, bo nie byłem odpowiedzialny za rodzinę.

Przejdźmy do refleksji na temat stanu wojennego: czy mimo tych wszystkich trudności, cierpień były jakieś pozytywne skutki tego okresu, np. jakieś przyjaźnie, które trwają do dnia dzisiejszego?

Właśnie tylko to. Otwartość ludzi, z którymi przynajmniej ja miałem szczęście się spotkać, ludzi, którzy byli życzliwi. Bardzo dużo było ludzi życzliwych. Po tych, po których można się było spodziewać jakiegoś zaangażowania, mówię o tych działaczach solidarnościowych, to się nie dało, ale po takich zwykłych ludziach... Miałem drukarnię w mieszkaniu u żołnierza zawodowego. On był chyba sierżantem, starszym już człowiekiem. Fakt że on się nie [angażował], ale jego żona (pani Krysia) [była] bardzo przychylna. On nie interesował się za bardzo. Gazetki czytał, nie przeszkadzał. I myśmy u nich bardzo długo drukowali. Fakt że to była praca cicha, bo nie mieliśmy wtedy jeszcze maszyn, tylko [drukowaliśmy] na sicie. To było uciążliwe, ale jakoś tak fajnie było w sumie.

Czy były jakieś wymierne korzyści Pańskiej działalności opozycyjnej?

Nie, materialnych oczywiście nie było żadnych. Natomiast pamiętam tych wszystkich ludzi, byli przyjaźni. Z Mietkiem Lisowskim wtedy właśnie się spotkałem, bo wcześniej go nie znałem. Szczepan Araszkiwicz, który też bardzo dużo pomagał, [odwalał] czarną robotę (gdzieś tam coś przewieźć czy jak). To było naprawdę dużo ludzi i to koleżeństwo w dalszym ciągu się utrzymuje.

A jak Pan teraz patrzy na lata 80-te? Czy ma Pan poczucie zmarnowanego czasu? Czy mógł Pan osiągnąć coś innego czego Pan nie osiągnął?

Nie, nie mam takiego odczucia. Myślę, że jakby się jeszcze raz coś takiego działo, to też bym się w to włączył, na ile by to było możliwe. Szkoda tylko, że nie byliśmy przygotowani. To wszystko było robione na takich wariackich papierach. Nie było tej organizacji, nie było tego co SB zarzucało Solidarności, że coś szykuje, że jakieś tam rzeczy robi. Tu w Szczecinie tego absolutnie nie było. To wszystko było na zasadzie takiej harcerskiej działalności jeden drugiemu. Ludzie, którzy się nigdy wcześniej nie znali (tak jak z tym Wójcikiem od Hildebrandta, który mi pokazał jak się drukuje na wałku). Przecież ja go na oczy nie widziałem, tylko ktoś wziął gazetkę, „a słuchaj ten ci pokażę jak to się robi”. Przychodzi facet, trochę młodszy nawet ode mnie albo w tym samym wieku, to tak, to tak. Przez to wpadki się nie zaliczyło. Jak przyszła taka menda typu Olejnik, który był w Zarządzie Regionu, wydawałoby się, że to jest ktoś, ludzie mieli do niego zaufanie, wybrali go... A on nawet nie był tajnym współpracownikiem, bo jak się teraz czyta, to z tych moich dokumentów [wynika], że on sam wydzwaniał do nich, bo chciał wyjechać z Polski. Wydzwaniał do nich po parę razy dziennie i kablował to, co wiedział. Ten Skwierczyński, on był w Polmo przewodniczącym, też wyszedł z internowania. Ja go poznałem przez kolegę, bo też go wcześniej nie znałem. On po gazetki przychodził. I okazuje się, że on kabel.

Jak ocenia Pan zmiany, jakie nastąpiły po 89?

Ja byłem bardzo szczęśliwy, że w końcu coś się zmieniło. Miałem duże nadzieje, ale niestety się rozczarowałem. Zamiast mieć jakieś poczucie sprawiedliwości, że coś się zmieni, to zostało rozmyte, głównie przez Michnika. Kumplowanie się z tymi czerwonymi było po prostu żalosne. Dla mnie to był naprawdę szok, że coś takiego jest w ogóle możliwe. Czuję się absolutnie oszukany przez tych ludzi, przez Kuronia, śp. Geremka, Michnika (jemu to chyba nigdy nie daruję), że tak nas oszukali. To

wszystko zostało jakoś tak ładnie cacy. Nagle się okazało, że źli to nie są źli, tylko że my jesteśmy źli, bo my coś chcemy, jakiejś sprawiedliwości, już nawet nie materialnej tylko potępienia tych bandytów. Dla mnie to był po prostu szok jak ja zobaczyłem, co się pomału wyprawia. Przecież [takie] szuje jak Urban, oni teraz za pleckami prawie że rządzą w Polsce, a hołota dalej ma siedzieć cicho i cześć. I tu się [ich] kreuje na bohaterów. Jak się słucha te peany na temat Geremka w tej chwili, gdzie myśmy tutaj... Były strajki w 88 roku i Kuroń trzymał w garści wszelką korespondencję z regionów, która szła na Wolną Europę, wszystko szło przez ich łapy. Ze Szczecina nie puszczali żadnych informacji o strajkach, o tej działalności tutaj, więc Szczecin był strasznie wściekły na nich. W tamtym czasie, w 88 roku, kiedy już właściwie były luzy!

Czemu właściwie oni tego nie puszczali?

A jak się mieli sami poczuć jak w Warszawie wtedy g. robiono, nic nie robiono? Nie przyłączyli się do żadnego strajku. Myśmy tutaj strasznie na nich pyszczyli, ale po tym Okrągłym Stole wydawało się, że jednak coś z tego będzie, a tu nagle Michnik się kumpluje z Urbanem, nagle się okazuje, że to są starzy przyjaciele i wszystko się wybaczają: „katolicy wybaczcie! po co to?”. Dla mnie to był szok. Nie tego się przynajmniej spodziewałem. Jednak liczyłem na taką cezurę, że będzie rozliczenie, ujawnienie, a nie, kurde, robienie bohaterów z (jak się później okazuje) kapusiów. Albo jak się Kuroń dogadywał z esbekami, żeby odsunąć co bardziej radykalnych, najlepiej wsadzić. Toż to jest szok, po prostu szok. Podejrzewam, że o Geremku równie ciekawe kwiatki wyjdą, tylko niech te pół roku minie. Historycy coś wyciągną. Wypiął się na władze polskie, na Kaczyńskich, robił jakieś cyrki, donosy. Skubiszewski- kapuś razem z Mazowieckim, Geremkiem i z Michnikiem przy Kwaśniewskim siedział w kapitule Orła Białego. Dla mnie to jest szok, że oni się z tym czerwonym tak dogadali. Bujak wielki bohater, kurde, nagle na początku lat 90-tych oddał Kiszczakowi legitymację solidarnościową do licytacji. Frasyniuk taki bohater, okazało się, że normalnie kiepszczina. Te wielkie ukrywania, to nie wiadomo czy to rzeczywiście tak wyglądało. Nagle , jak tak patrzę z perspektywy Stargardu, okazuje się, że nie wiadomo w której orkiestrze gra Borusewicz. Też nie wie, w którą stronę się bujnąć. Ja byłem raz u Borusewicza. Pojechaliśmy chyba w 88 roku po strajkach, jeszcze przed Okrągłym Stołem. Niby miał zorganizować blachy offsetowe na offset, a od nas ze Szczecina chciał matryce woskowe. U nas była fabryka, to myśmy wzięli paki tych matryc woskowych i pojechaliśmy do Borusewicza. Oczywiście nie załatwił tego, ale poczęstował nas zupą rybną, którą sam zrobił. Ale tych blach (których w Szczecinie nie szło zdobyć żadnym skarbem, a [które] się kończyły), po któreśmy się tłucli prawie 400 km ze Szczecina, zimą jeszcze, to nam nie załatwił. Ale matryce wziął i zupką poczęstował.

Czyli po 89 nastąpiło zrelatywizowanie, nie wiadomo co jest czarne, a co białe...?

To jest najgorsze, że nagle się okazało, że bandyci mogą się dogadać z niby opozycją nie wiadomo na jakich zasadach. Ja mam swoich kolegów w Warszawie, na których wiem, że mogę zawsze liczyć. Oni się jakoś nie skiepszczają. To jest ten pożytek [ze] stanu wojennego, że tych parę osób się spotkało, poznało i na nich można liczyć.

Porozmawiajmy na koniec chwilę na temat obecnej Pana sytuacji życiowej: czy mieszka Pan obecnie sam, czy z żoną?

Mam rodzinę, mam syna. Mieszkamy w Stargardzie.

Jak Pan sobie obecnie radzi finansowo?

Głównie żona [radzi sobie finansowo], bo żona jest dentystką. Jakoś sobie radzimy, ale ja nie mam stałej pracy. Pracuję na czarno. Nie mam pracy. Szukałem, ale jakoś nie udało się znaleźć.

W jakim sektorze Pan pracuje?

Pracuję jako drukarz, tylko że na czarno. Ten, u którego pracuję mówi, że „tak, tak, zatrudnię cię”, ale jakoś to się trochę rozmywa. Wszyscy koledzy z dawnych czasów [mówią]: „Oczywiście, znajdziemy ci pracę, pomożemy”, ale jakoś minęło paręnaście lat i jakoś nic nie znaleźli.

Jaki jest stosunek rodziny do Pana działalności?

Ja myślę, że oceniają [ją] raczej pozytywnie. Żona też jest z porządnej rodziny. Absolutnie są za działalnością, za tym, że człowiek potrafił się przyzwoicie zachować w tamtym czasie.

Czy zamierza Pan ubiegać się o odszkodowanie?

Nie, wydaje mi się, że nie będę się ubiegał. No chyba że będzie jakaś szeroko [zakrojona] akcja, to wtedy nie zostanę [sam], ale w tej chwili mi to absolutnie przez [myśl] nie przechodzi.

Ale rozumiem, że dostał Pan z IPN-u teczkę na swój temat?

Tak, dostałem papiery.

Czy mógłby Pan coś powiedzieć na ten temat: ile tego było?

Jest tego tyle: dwie ryzy papieru. Po zapoznaniu się z tymi dokumentami przeżyłem szok, że właśnie niby koledzy z Zarządu Regionu, których ja rozszyfrowałem, byli współpracownikami SB. Wystąpiłem do IPN-u o odtajnienie w sumie 30 [różnych] nazwisk oraz chyba z 20 [nazwisk] funkcjonariuszy. Właśnie czekam na odtajnienie, na upewnienie się. Trzy osoby: Skwierczyński z Polmo, Olejnik ze Stargardu z Zarządu Regionu i Pawłowski z Fabryki Kabli w Załomiu; są na 100% przeze mnie rozszyfrowane. Jeden miał TW Ewa, ten Pawłowski, Skwierczyński to był TW Kamil, a Olejnik to nawet nie miał pseudonimu, bo jak mówiłem, nadawał po prostu, żeby wyjechać z Polski, a i tak go w końcu nie puścili, tak że nie wyjechał. Słyszałem, że wyniósł się stąd gdzieś na Mazury. Nie wychyla się w każdym razie.

Dziękuję za rozmowę.

Dziękuję.